



Zasiadają przy wspólnym, okrągłym stole i będą spożywać posiłek. Różni ich wszystko — wiek, pochodzenie społeczne, narodowe, światopogląd, kolor skóry, sytuacja majątkowa. Autor dramatu zadbał o to, by goście w domu burmistrza z Bolkenhain symbolizowali całą ludzkość. Jest więc katolik, Żyd i liberalny protestant, są religijni ekstremiści — jansenista i hugenot, są też ludzie bez wiary — ateista, wolnomysliciel — ale za to poruszani innymi ener-

dził, że nie przywiązuje do niego wielkiej wagi, bo to przecież nie jest wysiłek ani olimpiada w Seulu. Istotnie, w sztuce można sobie pozwolić na luksus nieoglądania się na innych, tu przecież liczą się przede wszystkim indywidualności, a nie wykonawcy jednego wzorca. A jednak przy całym szacunku dla odmiennych estetyk i wrażliwości artystów w „Czarnych maskach”, nie można było dojrzeć różnic jakościowych obydwu spektakli. Robert Satanowski dyrygujący przedstawieniem warszawskim przygotował miazdzącą apokalipsę nie tylko dramatyczną, lecz i wokalną. Potężna masa dźwięku wydobywająca się z kanału orkiestrowego i spadająca z III balkonu przygwoździła śpiewaków. Przetrwały jednostki obdarzone najlepszymi, najbardziej nośnymi głosami, co wcale nie znaczy, że kreujące główne role. Droga makabrycznej selekcji wyło-

Temat: APOKALIPSA

Bronisław Tumitowicz

getycznymi żądzami, seksem, chciwością. I jest jeszcze wspólna dla wszystkich, jedynie sprawiedliwa i bezstronna idea — strach. Strach przed śmiercią.

Goście początkowo rozmawiają o sprawach doczesnych, wznoszą toasty w ich słowach jest wiele kurtuazji i tolerancji względem sąsiadów przy stole, wydawałoby się więc całkiem naturalne, że z chwilą wystąpienia zagrożenia połączą się jeszcze bardziej we wspólnym działaniu. Niebezpieczeństwo jest jednak niejasne, zawołowane a między gośćmi zaczynają coraz silniej występować napięcia. Narastająca groza potęguje towarzyską dezintegrację, dowiadujemy się jakie namiętności i interesy dzieli ludzi. Rodzaj wiary względnie niewiary jest w sumie drobnostką wobec różnic, które przyniosło życie. W dramatycznym napięciu ci wszyscy ludzie gotowi byłiby wzajemnie się wyniszczyć, ale strach ich paraliżuje.

Ktoś widział człowieka w czarnej masce, ktoś mówi o epidemii dżumy w mieście, a jeszcze ktoś drży na myśl o powrocie okrutnego, demonicznego Murzyna-szantażysty. Te wszystkie fakty dodane razem tworzą nastrój zbliżający się Apokalipsy. Co to jest Apokalipsa? Czy tylko śmierć, która kończy wszystko? Wszystko? Krzysztof Penderecki językiem muzycznej ekspresji stwarza sugestię, że Apokalipsa jest czymś jeszcze potworniejszym. Nie potrafimy myśli muzycznej przełożyć na wizję konkretne, to podpowiadają nam autorzy inscenizacji opery „Czarna maska”, jednak nawet w formie scenicznej tworzą tylko niejasne symbole napięcia, zagrożenia i śmiertelnego szafu.

XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” przyniósł publiczności nie lada frajdę — aż dwie inscenizacje tej samej opery — warszawską i poznańską. Szef stołecznego Teatru Wielkiego Robert Satanowski zapytany o swój stosunek do tego „eksperymentu porównawczego” stwier-

nili się Bronisław Pekowski — katolicki duchowny, opat ksiączęcy i Małgorzata Szmidt — młoda Mułatka, choć wcale nie im przeznaczył kluczowe zadania kompozytor i zarazem współtwórca libretta, Krzysztof Penderecki. Mimo iż warszawska premiera „Czarnej maski” wykorzystywała polski tekst trudno było dociec, która z pań ma być naczelną postacią dramatu — Benigną, swoim zachowaniem prowokującą naddciągającą katastrofę. Jej główny partner, służący w domu burmistrza, jansenista Potter, kreowany przez tenora Jacka Parolę, zmuszony był przez orkiestrę do wykonywania czynności wręcz pantomimicznych. Reżyser spektaklu Albert Andre Lhereux nie tylko nie zapobiegł wokalne apokalipsie ale pogłębił chaos na scenie bowiem zamiast kierować artystami przesunął ściany, schody i inne dekoracje przygotowane przez Andrzeja Majewskiego. Nie zabrakło natomiast środków na imponującą wystawę np. czarne psy rasy Retweiler wypożyczone z prywatnej hodowli oraz wspaniałe zbudowanego Murzyna — Johnsona, który w pierwszej wersji miał być zupełnie nagi (!) w końcu pozwolono mu jednak założyć (w tej roli wystąpił młody śpiewak Rafał Songan) czarną maskę, przepraszam — przepaskę.

Spektakl Teatru Wielkiego z Poznania nie miał tych wszystkich zalet spiżowych głosów, czarnych psów, nagich Murzynów, jeżdżących dekoracji, gołębi, hipopotamów itd.), bronił się jednak subtelniejszym kierownictwem muzycznym Mieczysława Dondajewskiego i profesjonalną, logiczną reżyserią Ryszarda Peryta. Choć wszyscy śpiewali po niemiecku bez trudu wyróżnialiśmy z grona wykonawców Benignę — Ewę Werka i służącego Pottera (Aleksander Burandt), zresztą każda z tuzina postaci dramatu mogła być przedmiotem uwagi, gdyż poddawała się apokalipsie naturalnie, a nie pod przymusem.